

BYŁ SOBIE KRÓL...
Poczet Jagiellonów

*Moim chrześniakom:
Ani Baster, Olafowi Kukule i przede
wszystkim Maćkowi Kowalskiemu,
nie tylko chrześniakowi, ale także
współpracownikowi i spiritus mo-
vens tej edycji.*

*Zacnej familii Kowalskich
(z Pawłem na czele) serdeczne
dzięki za udostępnienie bogatego
księgozbioru.*

Mariusz Wollny (tekst)
Zuza Wollny (ilustracje)

—

BYŁ SOBIE KRÓL...

Poczet Jagiellonów

czyli historia dawnej Polski
dla każdego

wydanie II
przejrzane, uzupełnione
i na nowo zilustrowane

—



—

Kraków 2017

Był sobie król... Poczet Jagiellonów

Copyright © Mariusz Wollny & Zuza Wollny

ISBN 978-83-947673-2-7

Wydawca: JAMA Mariusz Wollny

Kraków 2017

Partner: Miasto Kraków



Podziękowania dla wszystkich, którzy biorąc udział w przedsprzedaży internetowej prowadzonej na portalu wspieram.to umożliwili wydanie tej książki, a zwłaszcza sponsorom wymienionym na okładce i nadzwyczaj hojnym prywatnym mecenasom:

*Janowi Mitkowskiemu,
Bartłomiejowi Walczakowi
oraz
Ewie i Waldemarowi
Tomankiewiczom.*

*Był sobie król, był sobie paż i była też królewna.
Żyli wśród róż, nie znali burz, rzecz najzupełniej pewna.*

(ze starej kołysanki; tekst Janina Porazińska, melodia tradycyjna)

—

*Literatura potrafi przekonać ogół, że historia jest ciekawa i piękna,
a przez to zachęcić do czytania wszystkich książek historycznych, na-
ukowych także.*

(Paweł Jasienica, z posłowania do *Polski Jagiellonów*)

Szanowny Czytelniku!

Czytałeś już na pewno *Był sobie król... Poczet Piastów*. Co? Nie czytałeś?? Nawet o tym nie słyszałeś mimo trzech już wydań??? Wstydź się, bo to lektura obowiązkowa dla wszystkich miłośników ciekawych opowieści, zarówno młodych jak i starszych. Dlatego również niniejszy poczet Jagiellonów polecam każdemu, bez względu na wiek.

Tak samo jak poprzednia część, tak i ta nie jest podręcznikiem historii Polski, dlatego nadaje się do czytania dla przyjemności, a najnudniejszy jest w niej wstęp, który oto skracam jak mogę.

Jak zwykle znajdziesz tu obszerne teksty dawnych kronikarzy (zaopatrzone takim znakiem „...”, czyli cudzysłowem), bowiem to dzięki nim książkę czyta się prawie jak powieść przygodową. Ich prawdomówność sprawdzimy przy pomocy znawców – historyków. Nie zabraknie też tego, co wszyscy lubią najbardziej – legend i anegdotek, których próżno szukać w dziełach naukowych. Tu i ówdzie niepoprawny autor wtrąci swoje fantazje (imaginacje), ale będą one wyraźnie oddzielone od reszty opowiadania, więc poważny Czytelnik będzie mógł je łatwo pominąć bez szkody dla lektury.

Teraz już chyba nie masz żadnych wątpliwości, że znajdziesz tu to wszystko, co każdy Polak chciałby i powinien wiedzieć o swoich władcach. Zatem – do dzieła!

Autor



KSIĘGA PIERWSZA

Przerywnik andegaweński

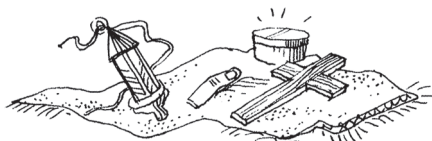
Zazwyczaj wydaje się nam, że po pierwszej (panującej w Polsce przez niemal pół tysiąca lat) dynastii – Piastach od razu nastąpili władający przez kolejne prawie 200 lat Jagiellonowie. A to nieprawda. Między jednych a drugich zdołali się bowiem jeszcze wcisnąć Andegawenowie. Nie rządzili długo, raptem kilkanaście lat (no, na upartego niecałe 30), a cóż to jest wobec naszej 1000-letniej historii? Istny przerywnik. Na dodatek było ich tylko dwoje, ojciec i córka. Ale za to jaka! Nie dość, że święta, to na domiar pierwszy i jedyny polski król (nie mylić z królową!) w spódnicy.

O ich czynach opowiedzą nam starzy znajomi: czcigodny kronikarz Jan Długosz oraz jego mniej (czcigodny jak się okaże) kolega po fachu – Janko z Czarnkowa, który żył właśnie w tamtych czasach.



LUDWIK WĘGIERSKI

1326–1382, król polski od 1370



KOLEKCJONER

Pochodził z francuskiej dynastii d'Anjou, w Polsce zwanej andegaweńską, będącej odgałęzieniem potężnego rodu Kapetyngów. O Andegawenach powiadano, że wywodzili się od diabła i jeden w drugiego byli diabłami wcielonymi, choć jak się zdaje dotyczyło to głównie linii francuskiej i angielskiej (Plantagenetów). Być może aby odciąć się od diabelskich korzeni, przodek Ludwika wywojował sobie własne królestwo w południowych Włoszech, zdobywając Neapol i Sycylię. Jego dziadek zaś został królem węgierskim, kiedy opróżniła tron rdzenna dynastia Arpadów, ale za to stracił dziedzictwo neapolitańskie.

Ludwik był synem Karola Roberta (przyjaciela naszego Łokietka) i jego trzeciej żony, Elżbiety Łokietkówny. Karol Robert, wielki światowiec, wybudował 20 km od stolicy Węgier Budy, w Wyszehradzie, nowy wspaniały pałac o 350 komnatach i salach balowych. Dziś jest on w ruinie, ale wówczas tętnił życiem, zaludniony przez tłumy dworzan i gości z Francji, Włoch, Niemiec, Polski i innych krajów, Madziarów oczywiście nie licząc. Obowiązywał francuski ceremoniał, bizantyjski przepych i włoska moda. Sławny włoski poeta Dante umieścił nawet Karola Roberta w swoim arcydziele *Boska komedia* i to w trzeciej części – *Raju*, choć miał jeszcze do wyboru *Pieć* (wiadomo, czym wybrukowane) i *Czyścić*.

Ludwik dorastał zatem w znakomitym otoczeniu i odebrał staranne wychowanie. Pod okiem dwóch wybitnych pedagogów wyrósł na młodzieńca wykształconego (kochał literaturę i z zapałem studiował astronomię) i pobożnego, idąc w ślady ojca, który kiedyś tak się zagalopował, że ślubował odmawiać codziennie 200 Ojcze nasz i zdrowasiek. Jednak nie poradził i ubłagał papieża o zmniejszenie dawki do piętnastu pacierzy

i to odmawianych przez wyznaczonego duchownego, ale liczą się przecież dobre chęci (acz wiadomo, co jest nimi wybrukowane).

Ludwik musiał szybko dorosnąć, bowiem królem Węgier, po śmierci ojca, został mając zaledwie 16 lat. Okazał się znakomitym politykiem, co wcale nie oznacza chodzącego ideału. Przekonał się o tym sam papież Innocenty VI, który zachwycał się Ludwikiem, nazywając go „najświętobliwszym, najukochańszym księżciem, pierworodnym Świętego Kościoła Bożego, prawdziwym synem łaski, arcychrześcijańskim królem”, a wyprawiając Ludwika na wyprawę krzyżową przeciwko heretyckim (heretyk albo kacerz to odstępca od wiary) Bośniakom przydał mu tytuł chorążego Kościoła. Tymczasem Ludwik zamiast na wyrodnych Bośniaków uderzył na arcykatolickich Wenecjan i odebrał im bogatą prowincję – Dalmację. Dawał też inne dowody zdecydowania i bezwzględności.

Miał czterech braci, którzy wcześniej zmarli, ponieważ wszyscy Andegawenowie byli obciążeni jakąś dziedziczną chorobą i nie dożywali sędziwego wieku. Jednak jednemu z nich, 17-letniemu Andrzejowi, w opuszczeniu tego padołu wydatnie pomogła piękna lecz niecnotliwa małżonka, Joanna, którą pojął, by odzyskać Królestwo Neapolu i Sycylii. Mąż nie przypadł do gustu Joannie, więc przy pomocy swoich wielbicieli wyprosiła go z sypialni, tyle że przez okno i dla pewności wcześniej uduszonego. Ludwik w odwecie najechał Neapol, rozprawił się ze współnikami morderczyni, ale Joanny nie pochwycił. Jednak niewiele lat potem zginęła uduszona, a jak podejrzewano, Ludwik maczał w tym palce. Nie darmo jego mamie przypisuje się powiedzonko: Królowie mają długie ręce.

Nie był jednak okrutnikiem. Gdy pewnego razu we Włoszech dla kaprysu kazał swemu koniuszemu rzucić się do rzeki, to potem sam skoczył w wodę i uratował tonącego.

Dobrze dowodził wojskiem, ale do walki się nie palił. Podczas tej samej wyprawy włoskiej wyzwany na pojedynek przez Ludwika z Tarentu nie podjął rękawicy, bo miał głowę na karku i nie chciał, żeby mu ją jakiś zakuty łeb poobijał.

Za to lubił czytać, posiadał wcale pokaźną bibliotekę, często oddawał się medytacjom. Dużo się modlił, nosił na szyi relikwiarz, codziennie odprawiał różaniec, wstawał zaś skoro świt i, ku utrapieniu zaspanych dworzan, zaczynał dzień od mszy. Wielką czcią otaczał Najświętszą Panienkę. Malowane przez sławnych artystów obrazy Matki Boskiej, w koszulkach ze srebrnej blachy z wytłoczonymi liliami andegaweńskimi oraz w srebrnych ramach zdobionych w herby państwowe polskie i węgierskie, rozsyłał

po klasztorach. Być może takim darem Ludwika jest sławny obraz Matki Boskiej Częstochowskiej albo przynajmniej pierwotna rama do niego.

Uprawiał wróżbiarstwo i astrologię, ale przede wszystkim był kolekcjonerem. Z zapałem zbierał relikwie i miał ich pokaźną kolekcję. Zawierając pokój z Wenecją w 1381 r., zażądał relikwii św. Pawła Eremity, a kiedy dostał ciało bez trzech palców, tak długo się wykłócał, aż uwzględniono reklamację i uzupełniono braki. Aż dziw, że odżałował dla innego zbieracza, cesarza Karola IV, obrus z Ostatniej Wieczerzy. Pasja męża przeniosła się na żonę, piękną Elżbietę Bośniaczkę, która jednak mądrością nie grzeszyła. Już jako wdowa, bawiąc w Zadarze w Dalmacji, ukradła palec (znów palec – ta część ciała prześladowała rodzinę) z relikwii św. Szymona. Lecz złapały ją mndłości (wiadomo – kradzione nie tuczy), gdy z łupem opuszczała kościół, więc oddała zdobycz, a za pokutę ufundowała pokrzywdzonemu świętemu srebrną trumnę z wizerunkiem swoim i wszystkich trzech córek.

Jednak największą pasją Ludwika było kolekcjonowanie księstw i królestw. A zbiór miał zaiste imponujący. Nosił tytuły króla Węgier, Dalmacji, Kroacji, Ramy, Serbii, Galicji i Lodomerii, Romanii i Bułgarii, a rościł pretensje do Neapolu i Sycylii. Nie dziwota, że ugiął się pod tymi wszystkimi tytułami i może dlatego był lekko garbaty. Mimo to, gdy nadarzyła się okazja, z ochotą włączył do kolekcji Królestwo Polskie.

DWA BRATANKI – WUJ I SIOSTRZENIEC

Polak, Węgier – dwa bratanki, i do szabli i do szklanki, nie bez kozery powiada znane porzekadło. Bo i prawdą jest, że od najdawniejszych czasów Polacy i Madziarzy na ogół żyli w wielkiej przyjaźni, a jeśli się czasem kłócili, to tylko po to, żeby jakoś ożywić tak nudne sąsiedztwo. Rodzinna sielanka najpiękniej rozkwitła za czasów dwóch ostatnich Piastów.

W 1320 r. Łokietek wydał córkę za Karola Roberta, a dziewięć lat później posłał na Węgry 19-letniego syna Kazimierza, aby załatwił ważne sprawy polityczne, a przy okazji ogłodził się w wytwornym towarzystwie. Tymczasem polskiego królewicza bardziej od polityki interesowały sprawy zgoła niepolityczne. Zaś starsza siostra Elżbieta tak dogadzała Każkowi, że razem wywołali potężną awanturę (szczegóły w *Był sobie król... Poczet Piastów*), w której trup ścieł się gęsto, a Elżbieta straciła cztery (cóż by innego!) palce, ciachnięte mieczem. Odtąd nazywano ją Królową Kikutą, Kazimierz (bardzo wówczas Niewielki) chyłkiem wrócił do ojczyzny, ale przyjaźni polsko-węgierskiej to nie nadważyło.

W 1335 r., już jako król, Kazimierz znów przybył do Wyszehradu i zawarł z Karolem Robertem umowę. W zamian za pomoc w podboju Rusi obiecał szwagrowi swój tron dla jego potomków w przypadku, gdyby zmarł nie pozostawiawszy dziedzica. Zaledwie 25-letni, krzepki i silny Kazimierz, spoglądając na chuderlawego, 9-letniego Ludwisia i jego jeszcze bardziej cheralawych braciszków, zapewne śmiał się w kułak i ukradkiem zacierał ręce, mniemając, że za darmo ubija świetny interes. Gdzieżby mu wtedy przyszło do głowy, że nie będzie miał syna!

Węgrzy natomiast potraktowali sprawę bardzo serio i rzetelnie wywiązywali się ze swych zobowiązań. W 1351 r. ruszyła kolejna wielka wyprawa na Ruś, aby odbić jej część z rąk Litwinów, i tym razem, oprócz Kazimierza Wielkiego, brał w niej udział także Ludwik. Wcześniej uzgodniono, że jeśli Kazimierz (nadal bezpotomny) doczeka się jednak dziedzica, Węgrzy będą mogli odkupić Ruś za 100 tysięcy złotych florenów, a jeśli nie, Ruś zostanie przy Polsce i razem z nią przejdzie pod panowanie Ludwika.

Ekspedycja zaczęła się niefortunnie, bo pod Lublinem Kazimierz ciężko się rozchorował i w kampanii już nie uczestniczył. Zapobiegliwy Ludwik skorzystał z okazji i na wypadek śmierci wuja odebrał od polskich rycerzy potwierdzenie swego prawa do tronu po Kazimierzu. Po czym pokonał Litwinów, wziął do niewoli księcia Kiejstuta i wymógł na nim obietnicę chrztu, bowiem Litwini wciąż jeszcze byli poganami. Kiejstut, wielki zawałdiaka i filut, zaprzysiągł to na litewską modłę, a było na co popatrzeć.

Imaginacja 1

– *Naprawdę się ochrzczisz, nie łżesz?* – upewnił się podejrzliwy Ludwik, węsząc podstęp, bo dobrze wiedział, że prawy Litwin boi się święconej wody bardziej niż diabeł.

– *Żebym tak zdrów był! A wszyscy moi wojownicy razem ze mną* – zarzekał się Kiejstut bijąc się w piersi, po czym mrugnął szelmowsko do swoich i zawołał:

– *Dawać tu czerwonego wołu, a nuże!*

Zaraz też przyprowadzono zwierzę i przywiązano je do dwóch pni, Kiejstut zaś wyjął zza pasa nóż i cisnął nim tak gracko, że trafił w szyję wołu i z tętnicy chlusnęła krew. Wszyscy Litwini rozmazali ją sobie na rękach i twarzach i wrzasnęli jednym głosem:

– *„Rogachina roznenachy gospanany!”*

Kronikarz węgierski, wszystko pilnie notujący dla potomności, trącił najbliższego Litwina, któremu z umazanych krwią oczu patrzyło, że zna obce języki, i zapytał go:



– Co to znaczy?

– To znaczy: Boże, przez wzgląd na nas i na nasze dusze, spójrz na wołu, a przysięgę dziś przez nas złożoną miej za spełnioną.

– Niestetychane! – zachwycił się Madziar. – Toż mogliby wam pozazdrościć słynący z krótkości a węzłowatości swojej mowy starożytni mieszkańcy Lakonii, skoro trzy słowa litewskie wystarczają za dwadzieścia w innym języku!

– Ba! – odparł Litwin lakonicznie, co na staropolszczyznę da się przełożyć mniej więcej tak: A niechaj narodowie wždy postronni znają, iż Litwini nie gęsi, iż swój język mają!

Tymczasem Kiejstut oderznął wołu łeb i oddzielił go od karku na tyle, by przez uczynioną przerwę zdołał się przecisnąć on sam, a następnie jego wojownicy, co też uczynili z ochotą, a tak się im to spodobało, że powtórzyli zabawę trzykrotnie.

Przysięga Kiejstuta wyglądała tak osobiwie, nawet jak na litewskie zwyczaje, jakby cały malowniczy obrządek wymyślił na poczekaniu. A nawet jeśli nie, to jako rasowy polityk ani myślał ją spełnić. Trzy dni grzecznie podążał u boku Ludwika na Węgry, by tam przyjąć chrzest ku chwale króla węgierskiego a na pohybel litewskim bogom, po czym nagle zniknął jak kamfora. Książę płocki Bolesław pechowo stanął mu na drodze, więc przeniósł się w zaświaty, co bynajmniej nie okryło żałobą Kazimierza Wielkiego, który zaraz zagarnął osieroconą przez krewniaka ziemię płocką.

Ostatni raz za życia wuja Ludwik gościł w Polsce w 1364 r. podczas słynnego zjazdu monarchów w Krakowie. Kazimierz Wielki wystąpił wtedy w roli rozjemcy, który godził Ludwika z poważnionym z nim cesarzem Karolem IV. A poszło o to, że cesarz brzydko wyraził się o mamie Ludwika a siostrze Kazimierza i zapachniało wojną. Na szczęście wszystko rozeszło się po kościach, których całe ogryzione stopy zostały po słynnej uczcie, jaką dla dostojnych gości wydał rajca krakowski Wierzynek.

Przy okazji Kazimierz, który właśnie planował kolejny ożenek, uzyskał od siostrzeńca obietnicę, że pierwszeństwo do tronu polskiego będzie miał syn zrodzony z tego związku. Ale nici z tych planów wyszły, Kazimierz zmarł nie zostawiwszy męskiego potomka i po polską koronę, jak było dawno ustalone, sięgnął Ludwik. I tak doszło do unii polsko-węgierskiej (drugiej po unii polsko-czeskiej sprzed niespełna wieku, lecz nie ostatniej) – jeden władca swoją osobą połączył dwa osobne państwa.

Za zasługi dla ojczyzny Węgrzy obdarzyli Ludwika zaszczytnym przydomkiem Wielki, po węgiersku Lajos Nagy. Jednak jako król Polski długo w niej nie zabawił, raptem kilkanaście tygodni, w sam raz tyle, żeby solidnie usadowić się na tronie, ale za krótko, by zasłużyć na porządną przydomek. Z tej racji zamiast Wielkim wypadłoby go raczej nazywać Ludwikiem Rzadkim Widokiem, ale Polacy wołali nań z francuska Lois, czyli po prostu Ludwik, zaś potomni też się nie wysilili i dali mu miano Węgierskiego.

Podobno Ludwik krygował się i ociągał z przyjęciem polskiej korony, wedle pocziwego kronikarza Długosza mówiąc tak:

– „Należy się obawiać, by moja rozdzielona na dwa królestwa władza nie zgubiła jednego i drugiego, bym szukając korzyści dla królestwa, nie stał się przyczyną jego zguby”.

Ale taką gadkę należy między bajki włożyć, bowiem prawdziwy kolekcjoner nigdy nie rezygnuje z powiększenia swych zbiorów. Toteż Ludwik, gdy tylko doszła go wieść o ciężkiej chorobie wuja, zaraz pchnął do Polski, dla dopilnowania swoich spraw, dwóch wysłanników, w tym śląskiego księcia Władysława Opolczyka. Po czym sam ruszył w drogę do Krakowa.

Pośpiech okazał się bardzo wskazany, gdyż wcale nie wszystkim Polakom uśmiechały się rządy Ludwika. Toteż Kazimierza pochowano już trzeciego dnia po śmierci, nie czekając na jego prawowitego następcę, choć obyczaj nakazywał wstrzymać się z pogrzebem starego władcy, dopóki nowy nie zostanie koronowany. Ale czujny Ludwik jeszcze tego samego dnia stanął w Krakowie, 10 dni później, 17 listopada, koronował się w katedrze wawelskiej, a dwa dni potem urządził wujowi drugi, niesłychanie uroczysty pochówek według węgierskiego obyczaju.

Zaraz potem przejrzał testament wuja i większość zapisów unieważnił, zwłaszcza te na korzyść ulubionego wnuka Kazimierzowego, księcia Kaźka słupeckiego, którego dziadek widział następcą Ludwika i w związku z tym hojnie uposażył.

Następnie udał się do Wielkopolski, aby ugłaskać Wielkopolan, najbardziej niezadowolonych z jego panowania. Ale odmówił wstąpienia na przygotowany dlań tron w katedrze gnieźnieńskiej twierdząc, co odnotował Długosz, „że to może go narazić na pośmiewisko, bo nie przystoi to ani jemu, ani Polakom, żeby koronacja, którą raz odbył ustalonym zwyczajem w królewskim mieście Krakowie, miała być znowu, jako budząca wątpliwości, zupełnie niezgodnie z obyczajem przodków odnawiana w Gnieźnie”.

Po czym zostawił w Polsce matkę Elżbietę jako swoją namiestniczkę, czyli regentkę, a Opolczyka jako starostę Rusi i już w połowie grudnia z powrotem był na Węgrzech. Przywiózł ze sobą córki Kazimierza (żeby wydać je czym prędzej za mąż jak najdalej od Polski) oraz, na wszelki wypadek, polskie insygnia królewskie, którymi się koronował, czyli koronę, berło i jabłko. Że postąpił bardzo przewidująco, zaraz się przekonamy.

DYGNITARZ WŁAMYWACZEM

Żył-był sobie wówczas na świecie pewien trochę pomyłony książę piastowski, Władysław Biały, blondynek o bardzo małym rozumku. Ciężko przeżywszy śmierć ukochanej żony, sprzedał ongiś swe „kieszonkowe” księstwko gniewkowskie kuzynowi, Kazimierzowi Wielkiemu, i postanowił zostać błędnym rycerzem. Błąkał się więc po szerokim świecie, bawiąc na Malcie, Cyprze, w Ziemi Świętej, Francji, Niemczech i Czechach u cesarza, po czym udał się do Krzyżaków i wyprawił z nimi na Litwę. Tam rycerskie zajęcie chwilowo mu obrzydło, więc udał się na dwór papieski do Awinionu we Francji i już po dwóch tygodniach poczuł powołanie do życia zakonnego. Przyjął święcenia i został cystersiem, ale wnet coś go do cystersów zraziło, uciekł więc do Dijon, też we Francji, i dla odmiany wstąpił do zakonu benedyktynów, w których klasztorze usiadł aż do śmierci Kazimierza Wielkiego.

Tam odszukali go niezadowoleni z kandydatury Ludwika rycerze wielkopolscy i zaproponowali mu polską koronę. Władysław natychmiast popędził do Awinionu, prosić papieża o zwolnienie ze ślubów zakonnych, ale nic nie wskórał, wycierając po próżnicy antyszambry (przedpokoje) papieskie, gdy tymczasem Ludwik zdążył się już koronować na króla polskiego. Jak niepyszny wrócił więc Władysław do swego klasztoru we Francji, lecz jego polscy zwolennicy jeszcze nie złożyli broni.

Zaliczał się do nich zdolny i wykształcony syn wójta czarnkowskiego, wielebny Janko. Talent młodego księdza docenił Kazimierz Wielki i uczynił go królewskim podkanclerzym. Janko z Czarnkowa w młodości poznał i polubił księcia Władysława Białego, a jako Wielkopolanin nie przepadał za Ludwikiem, więc ledwo król odjechał na Węgry, na początku 1371 r. Janko poważył się na czyn szalony.

Pewnej ciemnej, zimowej nocy opuścił swoje mieszkanie na ulicy Kanoniczej (tam mieszkali księża służący przy katedrze wawelskiej), naprzeciw domu kanclerza Janusza Suchegowilka (który o niczym nie wiedział), a mając jako

dostojnik państwowy i kościelny klucze do katedry, otworzył cichaczem drzwi, zakradł się do grobowca Kazimierza Wielkiego i wykradł stamtąd połączane insygnia z miedzi, z którymi pochowano króla. Skoro bowiem przezorny Ludwik wywiózł prawdziwe złote insygnia, to trumienne musiały wystarczyć jego rywalowi i pewnie by wystarczyły, bo historia zna takie przypadki.

Ale sprawa się wydała, widać rabuś niedokładnie zatarł ślady profanacji. Pogłoski o zbrodni szybko się rozeszły, zwłaszcza że przy okazji wykryto też brak pieniędzy i klejnotów z królewskiego skarbca, a podejrzenie wnet padło na Janka. Najgłośniej gardłowali przeciw niemu mający chrapkę na jego stanowiska Zawisza z Kurozwęk oraz Mikołaj z Kórnika.

Imaginacja z

Ledwo służba kościelna odkryła ślady włamania do królewskiego grobu, zaraz na miejscu przestępstwa pojawili się dwaj ulubieńcy królowej: archidiakon krakowski Zawisza z Kurozwęk oraz kanonik przy kościele Mariackim Mikołaj z Kórnika.

– Ha! Grób zaiste otwarty – stwierdził odkrywco Mikołaj na widok przesuniętej płyty nagrobnej i wsadził głowę w otwór. – Fui! Strasznie śmierdzi!

– Pewnie coś spłoszyło złoczyńcę i nie zdążył zatrzeć śladów – zauważył bystry Zawisza i spytał: – Widzisz coś?

– Widzę ciemność – odparł Mikołaj.

– Odsuń się – powiedział (do kolegi) Zawisza odsuwając wieko.

– Nie ma korony! Ani berła! Ani jabłka! – zawołał Mikołaj, patrząc z osłupieniem na obrabowanego nieboszczyka.

– Chyba wiem, czyja to sprawka – Zawisza schylił się i podniósł pierścień, który widocznie zsunął się z palca włamywaczowi i utknął w szparze koło sarkofagu.

– Jejku! Czarodziejski pierścień Lewka Izraelity! – Mikołaj natychmiast rozpoznał słynny klejnot.

– Owszem. A kto ostatnio go nosił na palcu?

Jak wieść gminnaniosła, bogaty Żyd Lewko, bankier króla Kazimierza, posiadał magiczny pierścień, rzucający czary na ludzi, który podarował innemu królewskiemu faworytowi, Jankowi z Czarnkowa.

– Podkanclerzy – sam sobie odpowiedział Zawisza, który właśnie marzył o stanowisku podkanclerskim.

– Archidiakon gnieźnieński – dodał Mikołaj, który przypadkiem miał wielką ochotę zostać archidiakonem, najlepiej gnieźnieńskim.

– Nieprzyjaciół naszego dobrego Loisa – mruknął znacząco Zawisza. – To wiele tłumaczy.

– No to mamy winowajcę! – ucieszył się Mikołaj. – Idziemy do królowej.

Po drodze mijali skarbiec królewski. Na ten widok Mikołajowi, który do pieniędzy czuł duży pociąg i był już raz oskarżony o sprzeniewierzenie kościelnych funduszy, coś przyszło do głowy. Przystanął i rozejrzał się czujnie dookoła.

– Jak myślisz, chyba łotrowi, który naruszył spokój umarłego, nie sprawiłoby różnicy obrabowanie królewskiego skarbcza? – spytał Zawiszę i jednym szarpnięciem zerwał pieczęcie strzegące skarbcza.

– No, teraz to się już Janko z pewnością nie wywinie – ucieszył się Zawisza i sięgnął do kieszeni. – Zwłaszcza, że akurat mam przy sobie klucz i od razu możemy sprawdzić, ile pieniędzy ukradł ten niecnota.

Mrugnęli do siebie porozumiewawczo i weszli do skarbcza.

Najpierw stracił Janko stanowisko państwowe, więc nie czekając na rozwój wypadków czmychnął do Gniezna, gdzie z papieskiego nadania był archidiakonem. Ale królowa Elżbieta, w zastępstwie Ludwika dobrze pilnująca interesów syna, doprowadziła do przesłuchania podejrzanego, który wobec niezbitych dowodów (nie wiadomo jakich) przyznał się do zbezczeszczenia grobu, lecz tłumaczył to mętnie chęcią przeznaczenia łupu na zbożny cel. Jednak sąd kościelny uniewinnił Janka, bo spryciarz w obecności arcybiskupa Jarosława wyzwał swego głównego wroga i oskarżyciela, Mikołaja z Kórnik, na sąd boży: jeśli вина zostanie mu ostatecznie udowodniona, będzie skazany na obcięcie członków, jeśli nie – kat poćwiartuje oskarżyciela. Mikołaj nie był gotów na takie ryzyko, za to następnego roku oskarżył Janka w Poznaniu przed królową o posiadanie słynnego zaczarowanego pierścienia żydowskiego bankiera Lewka, a także przywłaszczenie ogromnej sumy 16 tysięcy grzywien groszy, pobranych przez Janka od krakowskich Żydów jeszcze za życia króla Kazimierza i należnych królewskiemu skarbowi. Ponieważ oskarżony nie stawiał się na rozprawę, został zaocznie skazany na przepadek mienia i wygnanie. Tułał się potem po Czechach i Śląsku, aż Janusz Suchywilk, który został arcybiskupem, wyjednał mu ułaskawienie i powrót na archidiakonat w Gnieźnie. Od tej pory Janko już nie wtrącał się do polityki, tylko pisał kronikę, w której na swoich wrogach nie zostawił suchej nitki, zwłaszcza że i Mikołaj, i Zawisza porobili wielkie kariery, obaj zostali biskupami, a Zawisza osiągnął nawet jeszcze więcej.

Jednego nie jesteśmy pewni do dziś – dla kogo Janko ukradł koronę. Czy rzeczywiście dla Władysława Białego, czy raczej dla Każka słuńskiego, a może dla Ziemowita mazowieckiego? Cała bowiem owa trójca Piastów chętnie ulżyłaby Ludwikowi w dźwiganiu polskiej korony.

Zaś insygnia wróciły na swoje miejsce, skąd zostały wydobyte dopiero podczas otwarcia grobu króla Kazimierza Wielkiego w XIX w. Dziś są ozdobą muzeum wawelskiego, zwłaszcza że tylko one nam zostały, bo wszystkie prawdziwe insygnia koronacyjne polskich królów zrabowali Prusacy po III rozbiorze Polski.

O NOWYCH WYBRYKACH POLSKIEGO LANCELOTA

Tymczasem ten (prawdopodobnie), dla którego Janko z Czarnkowa zwichnął sobie karierę, obieżyświat Władysław Biały, już zdążył uprzykrzyć sobie klasztorny spokój i cichaczem przybył do ojczyzny. Doszły go bowiem słuchy, że nieposiadający syna Ludwik chciał zapewnić tron którejś z córek, a to Polakom wcale się nie podobało, zwłaszcza Wielkopolanom. Ale nawet u nich nic nie wskórał, więc podążył na rodzinne Kujawy, gdzie udało mu się zebrać nieco zwolenników i na ich czele zdobyć kilka grodów. Jednak starosta wielkopolski Sędziwój z Szubina pozbawił go rychło większości zdobyczy. Uciekając do warownej Złotorii, srożył się Władysław okrutnie. Wreszcie został otoczony nie tylko przez wojsko Sędziwoja, ale także starosty brzeskiego Bartosza z Wyzemborga (potomka owego Peregrina, który niegdyś ocalił życie Henrykowi Brodatemu) oraz księcia Każka słuńskiego, ukochanego wnuczka Kazimierza Wielkiego.

Podczas oblężenia głąz rzucony przez obrońców śmiertelnie ranił bezdzietnego Każka, a jego polskie posiadłości przejął Ludwik. Tak to, za jednym zamachem, z małą pomocą kamienia, którym jeden niemądry Piast cisnął w drugiego, pozbył się Ludwik obu rywali (zresztą siebie wartych, czyli niewiele) do tronu.

Bo ostatecznie Władysław musiał się poddać, na koniec jak prawdziwy błędny rycerz odbywając przegrany pojedynek na kopie z Bartoszem, którego król Ludwik nagrodził nadaniem Odolanowa i który odtąd zmienił miano, ale i poglądy, co się rychło okaże. Kompletnie załamany i poważnie ranny pożyczył Władysław pieniędzy od swego pogromcy i udał się na Węgry, ułagodzić Ludwika i naciągnąć go na odkupienie księstwa gniewkowskiego po raz drugi. I tak, w 1376 r., nareszcie skończyła się kilkuletnia awantura. Ludwik, ze względu na żonę – siostrzenicę Władysława, zlitował się nad jej

wujkiem, zapłacił mu 10 tysięcy grzywien i, na wszelki wypadek, osadził u benedyktynów węgierskich. Lecz Władzio-wędrowniczek długo tu nie wysiedział i przez Gdańsk wrócił do Dijon.

Mając pieniądze urządził się w klasztorze wygodnie i lubił z opatem snuć opowieści o królu Arturze i jego rycerzach. Po śmierci Ludwika jeszcze raz wyruszył do Polski, aby objąć tron, lecz po drodze powaliła go śmiertelna choroba. Został pochowany w Dijon. Cały majątek zostawił zakonnikom, prosząc jedynie o odprawianie modłów za swoją duszę, co istotnie czyniono przez następne kilka stuleci, choć nikt już nie pamiętał jego imienia i nazywano go polskim Lancelotem, na pamiątkę najsłynniejszego z rycerzy Okrągłego Stołu. Jednak Władysław wcale nie przypominał tego szlachetnego bohatera, co musiał w końcu z goryczą przyznać nawet Janko z Czarnkowa.

O BABSKICH RZĄDACH

Opisane awantury działały się pod nieobecność Ludwika, którego w Polsce zastępowała matka Elżbieta. Polacy zaś, choć Kazimierz Wielki bardzo ich podciągnął pod wieloma względami, dżentelmenami jeszcze się nie stali, zwłaszcza Wielkopolanie, i dlatego o babskich rządach mieli zdanie nienajlepsze.

„Za jej rządów działały się w Królestwie Polskim wielkie grabieże, łupiestwa i rozbaje: prałatom różnych kościołów, podczas ich obecności w domu, zabierano nocną porą złodziejskim sposobem konie, księgi i różne rzeczy; łupiono kupców w różnych stronach Polski handlujących; łotrowie wypędzali z Królestwa stadniny należące do szlachty, szczególnie w Wielkopolsce. Nikt nie mógł wyjednać od królowej zwrotu niesłusznie zabranych dzieł z dzieł ani załatwienia rozmaitych ważnych spraw. Tajemnym oskarżeniom donosicieli dawała łatwy posłuch, przez co wielu ludziom sprawiedliwym i synowi jej wiernym krzywdy czyniła” – doniósł na królową Janko z Czarnkowa, który jednak do niewiniątek nie należał, z Elżbietą miał na pieńku, więc wierzyć mu za bardzo nie można. Zwłaszcza że akurat to ona pozuracała wielu pokrzywdzonym majątki zagarnięte im bezprawnie przez Kazimierza Wielkiego, a o bezpieczeństwie na polskich drogach, patrolowanych przez strażników, z uznaniem wyrażali się nawet Krzyżacy. Pamiętliwa też nie była – kiedy na kanclerza (bardzo ważną osobę, bo dysponującą pieczęcią królewską) awansował Zawisza, podkanclerzym został brat Janka z Czarnkowa, Szymek.

Tym, czego naprawdę rodacy nie mogli Elżbiecie wybaczyć, było jej swobodne obejście i poczucie monarszej godności. Zaś zacofani Polacy i inni bracia Słowianie miejsce kobiety widzieli raczej w kuchni, przy dzieciach i w kościele. Nawet królowe musiały postępować dwa kroki za swymi małżonkami, bo tak kazał obyczaj. Dlatego przyzwyczajone u siebie do większej swobody pochodzące z zagranicy królowe polskie zawsze posądzano o zbyt wielką samodzielność i żądzę władzy.

Tymczasem Elżbieta przywykła na Węgrzech do światowego życia. Mąż i syn wielce ją szanowali, była po nich pierwszą osobą w państwie, której ustępowali pierwszeństwa przy stole i podczas uroczystości. Ludwik, wzorowy maminsynek, bardzo kochał (i przeceniał) matkę. A gdy podczas wyprawy neapolitańskiej został ciężko ranny (odtąd kulał) pod Awersą, powiedział do opiekującego się nim franciszkanina:

– „Gdybym umarł, zawieź głowę moją i serce mojej matce”.

Miała własny, pełen przepychu dwór złożony z urzędników, gwardzystów oraz istnej armii paziów, dworzan i dwórek, a wśród nich spore stadko Piastowiczów i Piastówien, które korzystnie wydawała za mąż, gdy już nabrały ogłady. Jej wychowanicą była też późniejsza żona Ludwika, piękna Elżbieta Bośniaczka. Była przy tym Elżbieta pobożna i wykształcona (umiała czytać i pisać po łacinie!), gdyż za młodu wychowywała się u sióstr klarysek w Sączu.

Zdolna i rozumna, cieszyła się szacunkiem koronowanych głów europejskich (z jednym wyjątkiem) oraz samego papieża. Chcąc, aby bardziej szanowano jej syna Andrzeja (tego potem uduszonego) odwiedziła go w Neapolu, występując tam z wielką wystawnością i szastając złotem na prawo i lewo. Podarowała Andrzejowi cudowny pierścień-amulet, który miał go ustrzec przed sztyltem i trucizną. Nie skutkował tylko na uduszenie, jak się okazało, ale przecież nie wszystko da się przewidzieć. Największe dary posłała jednak papieżowi do Awinionu, aby zatwierdził prawo Andrzeja do korony, sama zaś udała się z Neapolu do Rzymu, pod eskortą ponad 50 rycerzy zwiedzając Wieczne Miasto we wspaniałym rydwanie i ciągnąc za sobą ogromną świtę. A tak hojnie rozdawała jałmużny, że całkowicie spłukana wróciła przez Neapol do Budy, oprócz gotówki zostawiając po sobie niezapomniane wrażenie.

Kilkanaście lat później, pod pozorem pielgrzymki do grobu św. Elżbiety w Marburgu, na czele 700-osobowego orszaku wybrała się w odwiedziny do cesarza Karola IV, aby zdobyć dla Ludwika przychyłność cesarską w kwestii odebrania Wenecjanom Dalmacji. Misja powiodła się, ale niedługo potem

Ludwik z Karolem pokłócili się i cesarz nazwał Elżbietę „psotnicą i bezwstydnicą”, przez co niemal doszło do wojny. Na szczęście zwaśnionych pogodził Kazimierz Wielki, brat Elżbiety. Ją zaś syn uczynił regentką nowo zdobytej Dalmacji.

Miała więc już wprawę w rządzeniu, kiedy przyszło jej w Polsce zastępować Ludwika. Nosila tytuł *regina Poloniae*, czyli królowa Polski, ale złośliwi (głównie Wielkopolanie) przezywali ją Królową Kikutą lub jeszcze bardziej pogardliwie: królem w czepcu. Kronikarz archidiecezji gnieźnieńskiej, zapewne sam mściwy Janko z Czarnkowa, napisał zaś tak: „Płacz, narodzie lechicki, albowiem popadłeś w przekleństwo proroka: niewiasta pochwyciła ster rządu i włada tobą”. Ogół Polaków jednak miał o Elżbiecie lepsze zdanie, zwłaszcza że umiała sobie jednać zwolenników. I nazywał ją najczęściej zwyczajnie królową starszą (młodszą była żona Ludwika, też Elżbieta) lub, odkąd doczekała się wnuczek, królową-babką.

Ponieważ Ludwik nie miał syna, całą swoją energię poświęciła Elżbieta na to, aby, wbrew prawu wielkopolskiemu, przekonać Polaków do zgody na objęcie tronu przez którąś z wnuczek, co się powiodło. Po wypełnieniu tej super ważnej i arcytrudnej misji, wróciła na Węgry.

JAK BRATANKI Z BRATANKAMI

Każda reguła ma swoje wyjątki, więc przyjaźń polsko-węgierska też miewała krótkie przerwy. Jedna z nich przypadła na powrót Elżbiety do Polski w 1376 r.

Królowa-babka przekroczyła już wtedy 70-tkę, ale trzymała się doskonale, jak na prawdziwą damę przystało. Podobno czerstwy wygląd zawdzięczała swemu własnemu wynalazkowi – wodzie kwiatowej czy też wódce rozmarynowej nazwanej larendogłą (od francuskiego *la reine d'Hongrie* – królowa węgierska), która rzekomo miała być cudownym środkiem odmładzającym, a w rzeczywistości – lekarstwem na reumatyzm (w XIX w. odnaleziono w Wiedniu receptę). Podobno obdarowała swymi perfumami francuskiego króla Karola V Mądrego i od tego czasu datuje się kariera francuskich pachnidel. Mimo swej pobożności i podeszłego wieku Elżbieta była niewiastą pogodną i wesołą, lubiła słuchać muzyki, urządzać tańce i patrzeć, jak młodzież się bawi.

W przygranicznym Sączu powitali ją polscy dostojnicy, a delegacja sandomierzan ostrzegła królową, że szykuje się wielki najazd Litwinów. Lecz Elżbieta wyśmiała ich obawy twierdząc, że samo imię Wielkiego Ludwika i jego „długa ręka” powstrzyma napastników. Kiejstut i jego bratanek Jagiełło

jednak jakoś się nie przestraszyli, zaskoczyli nieprzygotowanych Polaków i doszli aż do Sandomierza, paląc i łupiąc, po czym wycofali się, uprowadzając tysiące jeńców. To wtedy pod Baranowem bratanek arcybiskupa Janusza Suchegowilka, Cztan (albo Pietrasz) Grzymalita, któremu właśnie urodził się syn, złapał pod jedną pachę noworodka, pod drugą żonę i ocalił ich przepływając Wisłę w pław. Inni tyle szczęścia nie mieli, stąd nastała w kraju wielka żałoba i żal do Elżbiety. Nie sprawdziło się zatem zadufanie królowej w swoją nieomyślność: „Dzięki doświadczeniu nabytemu z woli Przenajwyższego wiedzieliśmy zawsze, co czynić należało”. Widać nie była z Panem Bogiem w tak dobrej komitywie, jak jej się zdawało.

Tymczasem w miesiąc po tych tragicznych wypadkach, 7 grudnia, beztroška Elżbieta wydała na Wawelu bal z tańcami i śpiewami, „kiedy raczej należało prosić zmiłowania Bożej dobroci. Sama przyglądała się tańcom. Ale wtedy dotknął ją bicz z nieba”, odnotował zgorszony świętoszek Długosz.

Ciągnący z Krakowa (zamek wawelski leżał poza murami miasta) na ucztę Węgrzy usiłowali zrabować jadące na rynek wozy z sianem i zbożem, wdając się w bójkę z polską eskortą. Przybyły rozdzielić zwaśnionych starosta grodzki Jaśko Kmita zginął od przypadkowej strzały wypuszczonej z łuku przez któregoś Węgra. Wtedy zaczęła się rzeź – zginęło co najmniej 76 Madziarów (tylu pochowano potem u franciszkanów), nie tylko winowajców, bowiem polowano na nich w całym mieście. Próbowali uciekać na zamek wawelski, ale zatrzaśnięto przed nimi bramy z obawy przed rozjątrzoną tłuszcą. Ocalili jedynie ci, którzy zdołali wspiąć się po linach i drabinach spuszczonej im z okien przez litościwe dwórki. Królowa przerwała bal i kazała wzmocnić strażę, które przez trzy dni nieprzerwanie strzegły wież i murów.

Przestraszona nie na żarty i rozgoryczona teraz na Polaków tak, jak wcześniej oni na nią, czym prędzej opuściła Polskę, by wrócić do niej jeszcze tylko raz, ale na krótko. Przed wyjazdem ufundowała piękną srebrną trumnę dla św. Stanisława (zrabowaną przez Szwedów w XVII w.), a wcześniej dopilnowała wykonania z czerwonego węgierskiego marmuru wspaniałego posągu nagrobnego Kazimierza Wielkiego. Umarła w Budzie w 1380 r., pozostawiając po sobie wielki majątek i hojnie obdarowując najbliższych krewnych oraz dwórki – tak Polki, jak Węgierki.

Jej regencji w Polsce nie ocenia się najlepiej, ale winę za to ponosi głównie maminsynek Ludwik, który wyręczał się matką, a Polskę traktował po macoszemu.



KRÓL MIESZCZAN

Pech Ludwika polegał na tym, że nie miał synów, tylko trzy córki, a wedle prawa wielkopolskiego nie mogły one dziedziczyć po ojcu. Jednak dzięki zabiegom matki i jej faworyta, biskupa krakowskiego i kanclerza w jednej osobie, Zawiszy z Kurozwęk, Polacy zgodzili się, by jedna z królewien odziedziczyła tron. Nie zrobili tego chętnie, ale Ludwik znalazł sposób, aby ich ostatecznie przekonać.

Do jego czasów rycerze polscy musieli płacić podatek rolny czyli poradlnie (inaczej podymne) w wysokości 12 groszy (był to wiardunek, czyli ćwiartka grzywny wartej 48 gr.) od każdego łana, czyli gospodarstwa chłopskiego, ale nawet Kazimierz Wielki miał kłopoty, aby ich do tego zmusić. Jednak starostowie Ludwika potrafili zadbać o to, by każdy oddał skarbowi królewskiemu, co należało. Nieprzyzwyczajeni do takiego przestrzegania prawa, Polacy podnieśli wielki lament. Wtedy Ludwik zaproponował im obniżenie podatków w zamian za przyznanie którejś z córek prawa do polskiej korony.

Stało się to w ulubionym mieście Elżbiety, Koszycach, w 1374 r. Delegacji polskiej przewodził arcybiskup Janusz Suchywilk. Ludwik obiecał Polakom obniżenie podatku do 2 groszy z łana, ale za to płaconych zarówno przez rycerzy, jak duchownych, co nie było w smak ani tym ostatnim, ani rycerzom wielkopolskim. Bo co prawda nowy podatek mieli tak naprawdę płacić tylko użytkujący grunt rolnicy-chłopi, ale w Wielkopolsce było wielu biednych rycerzy, którzy sami uprawiali ziemię i teraz zostali sprowadzeni do poziomu włościan. Próbowali więc protestować, lecz Ludwik kazał zatrzasknąć bramy miasta, polscy delegaci znaleźli się w pułapce i musieli podpisać, co im kazano.

Zresztą bogate rycerstwo zyskiwało na tym, bo praktycznie było zwolnione nie tylko od podatków, ale nawet od służby wojskowej poza granicami Polski, za co teraz król musiał im jeszcze dodatkowo płacić, nie mógł też obsadzać cudzoziemcami stanowisk państwowych. Uszczuplił więc tym samym Ludwik swą władzę królewską, a z rycerstwa uczynił grupę wyraźnie ważniejszą od innych – szlachtę, co krajowi w przyszłości nie wyszło na dobre i o co wielu historyków ma do Ludwika pretensje. Bo prawdą jest, że ów pakt czy też przywilej koszycki był jak dany przysłowiowy palec – za kolejnych królów szlachta chwyciła całą rękę, potem sama owinęła sobie panujących wokół palca, by na koniec doprowadzić polską monarchię do upadku.

Co zaś się tyczy podatków, to po pierwsze, nie muszą ani nie powinny być za wysokie, ważne, by umieć je ściągać, a Ludwik potrafił co do grosza odebrać to, co się państwu należało, przez co w jego czasach skarbiec królewski był zawsze pełny, a to nigdy wcześniej (ani potem) w Polsce się nie zdarzało. A po drugie – wcale nie przepadał za rycerstwem i popierał mieszczan rozumiejąc, że od ich pracy (i chłopów, a 2 grosze poradnego nie było sumą rujną dla kmieci) zależy dobrobyt państwa. Dlatego bynajmniej nie cieszył się sympatią szlachty i tak jak Kazimierza Wielkiego przezywano królem chłopów, tak Ludwika wypadałoby nazwać królem mieszczan.

Dobry wódz, doskonały dyplomata, był przede wszystkim Ludwik świętym gospodarzem. Miasta polskie uzyskały wielkie przywileje, a największe Kraków. Przed kupcami polskimi otworzyły się szlaki handlowe na Wschód przez Ruś i na południe Europy przez Węgry, a równocześnie zamknięto je dla konkurencji z krzyżackich Prus. Nie darmo powiada się, że za jego czasów panował złoty wiek polskiego handlu. Dzięki temu rozwijały się i piękniały miasta, bogacił się cały kraj i pęczniał skarbiec królewski. Kronikarz Długosz napisał z uznaniem, że żadnemu polskiemu królowi „nie wpływały podatki i dochody tak regularnie i tak nieuszczerplone jak Ludwikowi”. Podobno, wzorem kalifa Haruna ar-Raszida oraz wuja Kazimierza Wielkiego, lubił u siebie na Węgrzech w przebraniu sprawdzać swych urzędników, czy dobrze wypełniają obowiązki. Dlatego należał do najbogatszych władców europejskich – tylko na bieżące wydatki jego skarbiec mieścił 27 000 grzywien w srebrze i 17 000 grzywien w złocie, bo to on zaczął wybijać węgierskie złote monety – floreny. O takich dochodach poprzedni i następni królowie polscy mogli tylko pomarzyć!

OFIARA KLĄTWY?

Po wyjeździe z Polski matki Ludwik przybył na Ruś, ostro zabrał się do nawracania prawosławnych Rusinów na katolicyzm, po czym przyłączył Ruś do Węgier. Zaś „księcia Rusi” i jej namiestnika, Ślązaka Władysława Opolczyka, uczynił namiestnikiem Polski, obdarowując go ziemiami po Każku słupskim i Władysławie Białym, którzy sami wyeliminowali się jednym kamieniem.

Ponieważ Ludwik szczególnie upodobał sobie zakon paulinów, lizus Opolczyk w 1382 r. założył klasztor paulinów pod Częstochową, do którego sprowadził z Rusi cudowny obraz Matki Boskiej, przypuszczalnie pochodzący z Grecji. Autorstwo tej ikony tradycja przypisuje św. Łukaszowi Ewangelście, który jakoby namalował ją na blacie stołu używanego w rodzinnym domu

Jezusa w Nazarecie. Obraz wprawdzie trafił do Konstantynopola, a dopiero potem na Ruś, gdzie książę Lew umieścił go na zamku w Bełzie, aż wreszcie Opolczyk wybawił Najświętszą Panienkę z niewoli religijnie niepoprawnych prawosławnych. Takie „uratowane” obrazy uważano bowiem za dwakroć cenniejsze od zwyczajnych. I tak powstało na Jasnej Górze najsłynniejsze polskie sanktuarium.

Opolczyka zwano Naderspanem, czyli wielkim panem, bowiem wcześniej pełnił na Węgrzech stanowisko zastępcy króla, palatyna, ale Polacy nie znosili go, bo był zniemczony jak sam Ludwik, a poza tym wzorem swego pana rozsądnie popierał mieszczan przeciw rycerzom. Wobec tego król odwołał go i powołał aż trzech namiestników, na czele tej trójcy stawiając Zawiszę z Kurozwęk. Zawisza był zręcznym politykiem, ale, choć biskup, kochał się w luksusie i innych przyjemnościach. Wstąpił kiedyś do młyna, bo upadła mu w oko piękna młynarzówna, którą wypatrzył na pięterku. Ale kiedy poszedł na górę, z bliska przypatrzyć się urodzie młynarzówny, spadł z drabiny. Poturbowany, rychło wyzionął ducha i Ludwik ustanowił nowego namiestnika, Zygmunta Luksemburczyka, męża swej córki Marii, która była wyznaczona na królową Polski.

A niedługo potem Ludwik zmarł, mając niewiele ponad 50 lat. Przypuszczalnie umarł na dziedziczną paskudną chorobę (ponoć pochodzącą z jego rodzinnych stron i dlatego zwaną francą, która z czasem zrobiła mu z mózgu papkę, przez co u schyłku życia nie bardzo wiedział, co się wkoło działo), ale być może padł ofiarą klątwy templariuszy! Templariusze byli zakonem rycerskim, który wypędzony przez Turków z Ziemi Świętej, wrócił do rodzinnej Francji. Ponieważ uchodzili za bardzo bogatych, król Francji Filip Piękny zapragnął ich skarbów. Za zgodą papieża, pod pozorem oddawania przez templariuszy czci diabłu Bahometowi, uwięził wielkiego mistrza zakonu, Jakuba de Molay, i po torturach skazał na spalenie na stosie. Umierając w mękach wielki mistrz, który nie przyznał się do winy, przeklął swych katów:

– „Przeklęci! Przeklęci! Wszyscy przeklęci po trzynaste pokolenie waszego rodu!”

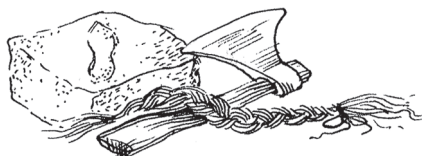
I dziwnym trafem marli jak muchy najpierw Kapetyngowie, potem spokrewnieni z nimi Andegawenowie, a na końcu Walezjusze, z których jeden krótko był królem polskim w XVI w. Wszyscy umierali młodo, z powodu chorób lub zamordowani, aż po trzynaste pokolenie... A skarbu i tak nie znaleziono. Być może templariusze, nim papież rozwiązał ich zakon, ukryli go u zaprzyjaźnionych Krzyżaków?

Według kronikarza węgierskiego, Ludwik „był człowiekiem słusznego wzrostu, o wyniosłym spojrzeniu, z brodą i włosami kędzierzawymi, pogodnym obliczem, o wydatnych wargach, nieco w ramionach pochylony”. Utykał od postrzału otrzymanego pod Awersą. Narzekał na zdrowie, zwłaszcza podczas pobytów w Polsce, utrzymując, że „aura [powietrze] Polski” szkodzi jego piersiom, dlatego zrobił przy nim karierę doskonały lekarz, wykształcony we Francji Polak, Jan Radlica, który został biskupem krakowskim. Choć Ludwik spędzał w Polsce mało czasu, to wcale jej nie zaniedbywał. Krzywdząca jest więc opinia Janka z Czarnkowa: „Dla nieobecności króla i trudnego doń ubogim ludziom przystępu spadły niewysłowione plagi na całe Królestwo Polskie. Za czasów króla Ludwika nie było żadnego ładu i żadnej sprawiedliwości w Królestwie, gdyż starostowie królewscy, jako też ich burgrabiowie dopuszczali się ustawicznej łupieży w dobytku ludzi ubogich”. W Polsce zawsze przestrzeganie prawa uchodziło za tyranję. A Ludwik zostawił kraj w jeszcze lepszym stanie niż Kazimierz Wielki.

Jednak wzorem wuja Kazimierza chętnie awansował zdolnych ludzi z niższych stanów – służby, kmieci i mieszczan, dla których założył nawet na Węgrzech akademię w Pięciu Kościołach (Pecs). Nie dziwota, że szlachta miała mu to za złe i to również, że chętnie mówił po niemiecku, a polskiego nigdy się nie nauczył, więc oskarżała go o zniemczanie narodu. To prawda, że dla świętego spokoju oddał Brandenburczykom odbite przez Kazimierza Wielkiego Santok i Drezdenko i na dobre zrzekł się Śląska na rzecz Czech. Na dodatek dobrze żył z Krzyżakami, a swoje córki zaręczył z niemieckimi Luksemburgami i rakuskimi (austriackimi) Habsburgami.

Ale takie były czasy i tacy władcy nowego typu, czego przyzwyczajeni do rodzimych Piastów Polacy jeszcze nie rozumieli. Pochodzący z Francji Andegawenowie byli mocno zwłoszczeni, zmadziaryzowani i zniemczeni i w całej Europie czuli się jak w domu, a dobro i splendor własnego rodu wynosili ponad dobro krajów, którymi zarządzili. Takie postępowanie nazywa się polityką dynastyczną i już niedługo Polakom przyjdzie się z nią lepiej zapoznać.

JADWIGA 1374–1399, król polski od 1384



JAK SÓJKA ZA MORZE

Królową Polski po śmierci ojca miała zostać starsza córka Maria (najstarsza Katarzyna zmarła w dzieciństwie), ale Węgrzy byli szybsi i zagarnęli Marię dla siebie, a Polacy chcieli mieć własnego króla. Poza tym jedni i drudzy nie lubili jej narzeczonego, Zygmunta Luksemburskiego, podówczas margrabiego brandenburskiego, a już najmniej przyszła teściowa. Za jej namową Polacy nie zaprzysięgli wierności Marii, a Zygmunta nie wpuścili do Krakowa, gdyż „byli zniechęceni do margrabiego Zygmunta za to, że bardziej popierał Czechów niż Polaków i pozwalał ich wyrzucać z komnaty, kiedy siadał do posiłku”, jak napisał oburzony Jan Długosz w imieniu głodzonych i obrażanych rodaków.

W zamian Elżbieta Bośniaczka obiecała Polakom młodszą córkę, Jadwigę, ale zwlekała z przysłaniem jej do Polski. Zniecierpliwieni długim czekaniem Wielkopolanie zaczęli się buntować i przemysliwać nad innym kandydatem do tronu. Interesów Andegawenów bronił starosta wielkopolski Domarat z Pierchna z rodu Grzymalitów, który zawdzięczał stanowisko ocaleniu wielu Węgrów podczas krakowskiego pogromu. Zaś na czele buntowników stanęli czyste wody warchoł Bartosz z Odolanowa oraz wojewoda poznański Wincenty z rodu Nałęczów. I tak doszło do niesławnej wojny Grzymalitów z Nałęczami, którzy pospołu dali w ten sposób jawny dowód, że Polska pod niektórymi względami dogoniła już Europę Zachodnią, a nawet ją prześcignęła, jako iż słynna angielska Wojna Dwóch Róż między Yorkami (Biała Róża) a Lancasterami (Czerwona) wybuchła dopiero w następnym stuleciu. Obie strony na wyprzódki uganiały się po Wielkopolsce, pustosząc ją dokumentnie i mordując się z wielkim upodobaniem. Obie też używały zawołania bojowego: Maria! Maria!, tylko nie bardzo wiadomo,

o kogo im szło. Grzymalitom zapewne o Marię Andegawenkę, ale Nałęczce raczej wciągnęli do awantury Matkę Boską, a swoim kandydatem na króla Polski uznali 17-letniego Piasta mazowieckiego, Ziemomysła IV (Semka).

Kiedy zatem pojechano do Sącza witać Jadwigę, wtedy Nałęczce, których popierał arcybiskup Bodzanta (też Nałęcz), uknuli plan porwania Jadwigi, by zmusić ją do ślubu z Semkiem. W tym celu zamierzali opanować Kraków. Ale sprawa się wydała i gdy Bodzanta wraz z dowodzonym przez Bartosza z Odolanowa oddziałem 500 zbrojnych, wśród których pod postacią prostego rycerza ukrywał się książę Semko, zbliżył się do stolicy, zatrzaśnięto przed nimi bramy. Jak niepyszni cofnęli się więc i zaczęli za miastem.

Jednak Jadwiga nie przybyła wówczas do Polski, więc buntownicy udali się do Gniezna. A gdy mieszkańcy nie wypuścili tam nawet swego arcybiskupa, całe towarzystwo pociągnęło do Sieradza, gdzie obwołało Semka królem w kościele dominikanów i osadziło na wysokim krześle, lecz nie mogło go koronować, gdyż insygnia wciąż były na Węgrzech. Wsadzono mu więc na głowę zwykły diadem. Na dodatek arcybiskup nareszcie poszedł po rozum do głowy i nie namaścił kandydata. Zaś Małopolanie ściągnęli z Węgier posiłki na czele z Zygmuntem i pogonili rebeliantów na Mazowsze. A Grzymalicy z Nałęczami z powrotem wzięli się za łby na całego, bo znów nie mieli nic lepszego do roboty.

Tymczasem Elżbieta Bośniaczka, równie piękna jak niemądra (choć chybą nie blondynka), za to intrygantka jak się patrzy, siedziała sobie w Raguzie (Dubrowniku) w Dalmacji (dziś Chorwacja) i ani myślała o oddaniu Polakom Jadwigi, która, niebożę, wybierała się do Polski jak sójka za morze. Udała się więc do niej delegacja Małopolan na czele ze starostą krakowskim Sędziwojem z Szubina i kasztelanem sandomierskim Jaśkiem z Tarnowa. Nie chcąc oddać dziewczynki, niesłowna Elżbieta aresztowała Sędziwoja w Zadarze, a wiernego sobie Jaśka wysłała do Krakowa, aby wypuścił na Wawel załogę węgierską. Jednak sprytny Sędziwój uciekł z niewoli i korzystając z rozstawnych koni, których nogi smarowano ponoć rewelacyjnym środkiem ze szpiku z jelenich goleni, pobił rekord świata, docierając do Krakowa w 24 godziny i robiąc w tym czasie 60 mil węgierskich czyli 600 kilometrów! Jeśli wierzyć Jankowi z Czarnkowa, to ten wynik nadaje się do księgi Guinnessa, bowiem nie przebywano wówczas więcej niż 120 km na dobę. Ostrzeżeni Małopolanie zamknęli drogę i nie wypuścili do Polski Węgrów prowadzonych przez Zygmunta.

Złość Polaków na Elżbietę była wielka, lecz tron dla Jadwigi uratował zakochany w pewnej Węgierce Spytko z Melsztyna, który popędził na Węgry

i nareszcie zdołał namówić Bośniaczkę, by przysłała Jadwigę do Polski przed końcem 1384 r. Jakoż i jesienią wyruszył do Krakowa okazały orszak, na którego czele 10-letnia dziewczynka, półsierota, wyruszała, by objąć tron w obcym sobie kraju.

Nieszczęsna królowna już wkrótce została całkowitą sierotą. Oto bowiem Zygmunt, zniecierpliwiony długim narzeczeństwem i niechęcią teściowej, przymusił Marię do małżeństwa. Ale wtedy najechał Węgry król Neapolu Karol de Pace i koronował się na króla Węgier, a Zygmunt zmykał przed nim na piechotę tak szybko, że mało ciżem nie pogubił. Jednak Karol wkrótce zginął z ręki mordercy nasłanego nań przez Elżbietę, która ponoć tak zagrzewała zabójcę:

– „Tnij dobrze, Forgacz! Dostaniesz Gumes i Gacz!”

Jednak zwolennicy zamordowanego Karola schwytali Elżbietę i zgładzili ją na oczach córki Marii. Przybyły na pomoc Zygmunt nie zdołał uratować teściowej. I tak na wszystkich intrygach Elżbiety najlepiej wyszedł Zygmunt Luksemburski, który już bez przeszkód został królem Węgier, ale choć w sumie zdobył aż 5 koron, w tym cesarską, to nigdy nie dostał tej pierwszej, polskiej, na którą miał wielką chrapkę. Nigdy też tego despektu nie zapomnieli Polakom i przez całe życie był im wrogiem.

DZIECIĘCE ŚLUBY

Kończące się powoli średniowiecze był to taki czas, gdy przy urodzinach królewien i królewiczów już nie asystowały wróżki i czarodzieje, ale brakowało jeszcze urzędników stanu cywilnego, jako że biurokracja sama była dopiero w powijakach. Nawet oseskom z rodów panujących nie wystawiano metryk urodzenia czy choćby chrztu. Dlatego nie jesteśmy pewni daty urodzin najmłodszej córki Ludwika i dawniej postarzano ją o trzy lata.

Dziś przyjmuje się, że Jadwiga przyszła na świat 18 lutego 1374 r. Ponieważ rodzice bardzo długo czekali na potomstwo, narodziny każdej z trzech córek napawały ich wielką radością. Mieli też wobec nich ambitne plany i każdej chcieli zapewnić jakieś królestwo. Dziwne więc, że tata wybrał Hedwiżce na narzeczonego mało znaczącego księcia austriackiego, Wilhelma Habsburga, chyba że proroczco przewidział, iż Habsburgowie staną się z czasem jedną z najpotężniejszych dynastii europejskich.

Baśnie przyzwyczaiły nas, że piękne królowny same wybierały sobie mężów, najlepiej równie pięknych królewiczów, dzielnych rycerzy, ewentualnie

zwykłych szewczyków, byle przystojnych. Średniowieczna rzeczywistość wyglądała nieco inaczej. Nikogo nie obchodziły uczucia młodych, o wszystkim decydowali rodzice, mający na względzie dobro rodu i państwa. Zaręczano dzieci kilkuletnie, a za zdatnych do małżeństwa uważano chłopców 14-letnich i dziewczęta 12-letnie.

Jadwigę zaręczono z Wilhelmem, gdy narzeczona miała cztery lata, a narzeczony osiem. Uroczyste zrękowiny odbyły się w austriackim (rakuskim, jak wtedy mówiono) Haimburgu w „dniach ostatniej pieśni słowika”. Arcybiskup Dymitr w obecności wielu dostojnych świadków tej swadźby „w pontyfikalne szaty przyodzian, związał w kościele parafialnym z przynależną solennością ręce dzieciom obojgu”, po czym nastąpiła niby-weselna uczta i tańce do późnej nocy, a wreszcie kulminacyjny moment każdych, nawet takich wstępnych zaślubin – pokładziny. Młodą parę zaprowadzili do alkowy i „ułożyli ją obok siebie”. Nazajutrz odbyły się równie huczne poprawiny, acz odpowiednia umowa czyli intercyza stwierdzała, że prawdziwe małżeństwo ma zostać zawarte za 5 lat. Taki dziecięcy ślub nie był bowiem ważny i można jeszcze było się „rozżenić”, acz nie bez kłopotów, bowiem chodziło także o pieniądze. Ustalono mianowicie, że Jadwiga wniesie w posagu 200 000 czerwonych złotych, a przyszły teść Leopold wywianuje ją taką samą sumą.

Po zaręczynach młodzi stali się zakładnikami – Jadwiga pojechała do Wiednia, Wilhelm do Budy. Ona miała się uczyć obyczajów i języka niemieckiego, on – węgierskiego.

Wiedeń ówczesny był prowincjonalną, niezbyt sympatyczną miejsciną, a jeszcze mniej sympatyczny był przyszły teść Jadwigi, Leopold. Dużo miłszy był jego starszy brat Albrecht, nieudacznik i dziwak, który wynalazł harcap, czyli męski warkocz i dlatego wołano nań Albrecht Z Warkoczem. Zdaje się, że mała Jadwisia zaprzyjaźniła się z nim, a może nawet słuchała, razem z Wilhelmem, opowieści nadwornego poety Suchenwirta o wyprawie Albrechta na Litwę na zaproszenie Krzyżaków, o strasznych dziwach w tych dzikich stronach i jeszcze dzikszych Litwinach. Wilhelm i Jadwiga często się odwiedzali, on przyjeżdżał do niej i odwrotnie, dlatego bardzo się polubili. Śmierć Ludwika zastała oboje w Budzie, a życzeniem umierającego było, by młodszy panował na Węgrzech, a Maria z Zygmunt w Polsce, ale wszystko potoczyło się inaczej.

Kiedy Polacy upomnieli się o Hedwiżkę, dziewczynka nie miała jeszcze 10 lat, lecz już była prawdziwą panienką z dobrego domu. Urodziwą, muzykalną, pobożną a równocześnie pełną temperamentu i wykształconą.

Zapewne uczyła się historii, geografii, gramatyki i retoryki oraz języków. Czytała i pisała po łacinie, znała węgierski, niemiecki, włoski i właśnie zaczęła uczyć się polskiego. Wychowawców i nauczycieli dobierał córkom sam tata, byli wśród nich najwybitniejsi węgierscy uczeni. Wzięła zatem Jadwisia od rodziców to, co najlepsze: od mamy urodę, od ojca rozum.

JAK KRÓLEWNA ZOSTAŁA KRÓLEM

Na początku października 1384 r. wspaniały orszak przekroczył polską granicę. Mała królowna jechała karocą w otoczeniu świty dwórek i dworzan oraz zastępu rycerzy węgierskich pod wodzą kardynała i kanclerza węgierskiego, Dymitra. Na ładownych wozach wieziono wspaniały posag królewski w złocie, srebrze, naczyniach, tkaninach, klejnotach, perłach i dywanach. W przygranicznym Sączu nastąpiło powitanie z polskimi rycerzami i ich małżonkami, po czym całe towarzystwo pociągnęło do Krakowa prastarym traktem, który wcześniej przemierzyła Kinga, a obie zapewne nie podejrzewały, że zaprowadzi je prosto ku świętości, bo jednak nie każdemu, kto przybywał do Polski z Węgier, to się przytrafiało.

Legenda podkrakowska powiada, że zmierzch zastał orszak na ostatnim wzniesieniu przed stolicą. Przerwano więc podróż i zanocowano w osadzie smolarzy, którzy czym chata (a raczej puszcza) bogata podjęli królownę. Nazajutrz, podziwiając rozciągający się w dole widok Krakowa, Jadwiga nazwała ową osadę Górką, a dla jej mieszkańców wyjednała potem u biskupa krakowskiego, Jana Radlicy, prawo obsługiwania katedry wawelskiej. Odtąd w dzwony katedry bili i wykonywali inne posługi świątnicy z owej Górki, którą zaczęto nazywać Świątnikami Górnymi. Znajduje się tam też skała zwana Kopytko z wgłębieniem w kształcie podkowy; wedle podania jest to odcisk kopyta wierzchowca królowej Jadwigi.

A królowna podążyła dalej i przez cysterską wieś Kurdwanów dotarła do podkrakowskich Krzemionek, gdzie na Górze Lasoty doszło do spotkania z krakowskimi mieszczanami, po czym cały już teraz ogromny tłum podążył przez Kazimierz na Wawel do wtóru radosnej muzyki, występów kuglarzy i wiwatów.

Polacy tak byli wyposzczeni długim dwuletnim oczekiwaniem na swoją królowę, że nie dali jej nawet odpocząć po męczącej podróży i zaraz po przyjeździe, 16 października, dzień po jej imieninach, koronowano dziesięcioipółletnią królowę na króla Polski, bo to ona była dziedzicem królestwa i tylko jej potomstwo miało prawo do korony w przyszłości. Ceremonii na

Wawelu przewodniczył arcybiskup Bodzanta, któremu wybaczone spiskowanie z Semkiem, byli też obecni dwaj biskupi węgierscy i kilku polskich, w tym krakowski Jan Radlica, ów słynny ulubiony lekarz Ludwika, którego Jadwiga znała wcześniej i bardzo lubiła. Ponoć w tłumie dostojników świeckich i duchownych, zapożyczających katedrę, znajdował się też brat księcia litewskiego Jagiełły, Skirgiełło.

Ponieważ polskie insygnia wciąż znajdowały się na Węgrzech, Jadwigę koronowano przypuszczalnie albo koroną jej prababki Jadwigi Łokietkowej, albo diademem z liliami andegaweńskimi, który otrzymała w spadku po babce Elżbiecie.

Nazajutrz, zgodnie z tradycją, udała się na rynek krakowski, odebrać hołd od mieszczan. Wiwatom na cześć młodocianego króla-dziewczyny nie było końca, widziano w niej bowiem nie Węgierkę, ale swojaczkę, Piastównę po kądzieli.

O koronacji Jadwigi nie napisał już Janko z Czarnkowa, odnotowawszy bowiem dla potomności rekordowy bieg Sędziwoja, stracił zainteresowanie dla spraw bieżących, ostatnie trzy lata życia poświęcając spisywaniu znacznie odleglejszych dziejów.

O PRAWDZIWEJ MIŁOŚCI

Możnym panom małopolskim, którzy trzęśli krajem ze szkodą dla reszty szlachty i innych stanów, państwo Jadwigi było bardzo na rękę. Zaczęli więc rozglądać się za kandydatem na jej męża, który oferowałby im najlepsze warunki. Wilhelm Habsburg miał kiepskie notowania i niewielu zwolenników. Należał do nich Gniewosz z Dalewic, który dzięki temu wkradł się w łaski Jadwigi. Jadwiga bowiem, choć musiała się zgodzić na to, że męża wybiorą jej Polacy, wciąż miała nadzieję na bajkowy *happy end* swej przyjaźni z Wilhelmem.

Tymczasem od pewnego czasu trwały już sekretne rozmowy panów krakowskich z potężnym księciem litewskim Jagiełłą. Możliwością dla polskiego na myśl o wielkich nadaniach ziemi czekającej na nich na wschodzie aż ślinka ciekła po brodach. I nie wadziło im bynajmniej, że Jagiełło był trzy razy starszy od Jadwigi, ani to, że zatwardziały z niego poganiń – byli gotowi na takie poświęcenie. Króla Jadwigi nikt o zdanie nie zamierzał pytać.

Na początku 1385 r. Jagiełło wysłał zatem do Krakowa dziewczęstów na czele z rodzonym bratem Skirgiełłą, który tak przemówił do Jadwigi:

– „Racz Wasza Miłość królewska przyjąć Wielkiego Księcia Litwy za małżonka swego. Wielki Książę Jagiełło wraz ze wszystkimi braćmi swymi i całą szlachtą życzy sobie przyjąć wiarę katolicką w Świętym Kościele rzymskim. Nad którym to dziełem pracowało wielu cesarzów i książąt przeróżnych, aż dopiero Waszej Królewskiej Mości zachował Bóg wszechmogący tę sławę”.

Nadto w imieniu swego pana obiecywał odzyskać stracone polskie ziemie, spłacić roszczenia Wilhelma (200 000 florenów), zwrócić polskich jeńców wojennych obojga płci oraz wcielić na zawsze Litwę i Ruś do Korony Królestwa Polskiego.

Nieszczężna 11-letnia królowa zasłoniła się ślubem z Wilhelmem i, grając na zwłokę, odesłała posłów do matki. Ale warunki przedstawione przez Litwinów olśniły nie tylko Polaków, lecz i papieża, zatem Elżbieta też wyraziła swą zgodę. Zrozumiała więc Jadwiga, wedle Długosza „już wtedy pobożna i sławie świątobliwości przychylna”, że nie można walczyć z przeznaczeniem. Popędzili tedy polscy posłowie na Litwę i w sierpniu 1385 r. w Krewie Jagiełło na piśmie zatwierdził ustalone wcześniej warunki unii Polski z Litwą.

Tymczasem niestała Elżbieta pod naciskiem Leopolda austriackiego zmieniła zdanie i poparła starania Wilhelma, więc uradowana Jadwiga posłała Gniewosza z Dalewic po narzeczonego. I kiedy na Litwie trwały układy, Wilhelm z wielkimi skarbami i świetnym orszakiem stanął u bram Krakowa. Jednak kasztelan krakowski Dobiesław z Kurozwęk nie wypuścił go na zamek, więc Wilhelm znalazł kwaterę w miejskiej gospodzie. Miał 15 lat i „nadobną fizjonomię”, był poważny, stateczny, spokojny (nie lubił wojen ani rycerskich pojedynków), „cnotliwych obyczajów”, a do dam odnosił się z najwyższą galanterią, zresztą o jego charakterze najlepiej świadczy przydomek – Uprzejmy.

Nie dziwota więc, że w Jadwidze odżyła dawna sympatia do towarzysza zabaw dziecięcych. A jako osobka stanowcza, nie dała się zatrzymać na zamku. Gościnni franciszkanie podejmowali oboje młodych i ich orszaki w refektarzu czyli jadalni swego klasztoru. Odbывwały się tam ponoć nawet uczty z tańcami. Nie wiemy tylko, czy zgodnie z ówczesnymi zwyczajami, młodzi jedli z jednej misy i tręcali się nogami pod stołem, bo byłby to objaw bardzo bliskiej zażyłości. Ale chyba jednak nie, bo na to Jadwiga była jeszcze zbyt młoda, a poza tym pobożni braciszczkowie pilnowali, by nie zdarzyło się u nich nic gorszego. Tak czy siak, młodzi odnowili starą znajomość i polubili się jeszcze bardziej.

Chociaż Jadwiga była jeszcze dzieckiem, to Wilhelm, w świetle średnio-wiecznego prawa, „doszedł już lat sprawnych” i do żeniaczki był gotów jak najbardziej. Wiedział też doskonale, mimo iż był młodzieńcem szlachetnym i wcale nie interesownym, że gra idzie nie tylko o rękę najpiękniejszej panny w Europie, ale i o całkiem spore królestwo. Musiał więc doprowadzić do prawdziwego małżeństwa, a to mogło się dokonać tylko na zamku. Gniewosz z Dalewic wpuścił więc ukradkiem na Wawel Wilhelma z orszakiem, bowiem wesele musiało się odbyć z należnym ceremoniałem, a doradca i powiernik Jadwigi, Piotr Wysz, urządził w komnatach królowej ucztę weselną. Lecz sprawa w porę się wydała i „gdy Wilhelm onejże nocy miał się udać na spoczynek z królową – napisał kronikarz wiedeński Paltram – chcieli go zamordować wielmoże i dostojnicy, przeto za namową królowej potajemnie uszedł i nigdy już potem nie wrócił”. A inna kronika austriacka dodaje: „Jadwiga księcia Wilhelma z komnaty w koszu na sznurach spuściła”. Od tej pory na zamku wzmocniono straż.

Jednak uparty Wilhelm wcale nie opuścił Krakowa, tylko czekał na następną okazję. Tymczasem gruchnęła wieść, że Jagiełło wyruszył do Polski i jest już w Lublinie. Widząc, że czasu zostało niewiele, energiczna Jadwiga postanowiła uciec z Wawelu do Wilhelma.

Imaginacja 3

Widząc, że przed główną bramą czuwają strażnicy, sprytna Jadwiga podążyła do mniejszej furty południowej, przy baszcie Lubrance, ale i tu stała warta. Rozzłoszczona królowa kazała sobie otworzyć furtę.

– „Nie wolno” – odparła straż.

– „Kto zabronił?”

– „Panowie”.

– „I mnież zabronią, królowej?! Podajcie topór!”

Ponieważ tego nie zabroniono, przestraszeni gniewem władczyni strażnicy podali jej topór. Chwyciła go i uniosła z trudem, lecz złość dodała jej sił. Zaczęła rąbać aż sypały się wióry.

– Trzeba rąbać koło zawiasów, będzie szybciej, Wasza Królewska Mość – poradził życzliwie strażnik.

– Lepiej walić w zamek, Wasza Królewska Mość – dodał drugi.

A trzeci, najbystrzejszy, pobiegł po starego sługę Ludwika, podskarbiego Dymitra z Goraja herbu Korczak. Zaczny Rusin przybiegł zdyszany i dalejże



prosić królową, aby odstąpiła od furty. Ale Jadwiga go nie słuchała i rąbała dalej.

– Najjaśniejsza Pani! – zawołał wreszcie w najwyższej rozpacz. – Czy to się godzi, aby dama zamiast toczonych ramion miała ręce muskularne jak drwal? O, już widzę, jak Waszej Królewskiej Mości rosną bicepsy!

– Doprawdy? – spytała Jadwiga, podejrzliwie zerkając na swoje piękne ramiona i choć rąbała nadal, to jakby z mniejszym zapałem.

– A piękne liczko Waszej Królewskiej Mości czerwone jak, nie przymierzając, burak. Włosy zaś rozczochrane jakby w nie piorun strzelił. A fe! – ciągnął Dymitr. – Złość piękności szkodzi. Gdyby cię, Najjaśniejsza Pani, w tym stanie zobaczyli pielgrzymi, którzy tylko dla podziwiania twojej sławnej urody zjeżdżają z całej Europy do Krakowa, nasze wpływy z turystyki zmalałyby bardzo. Nie mówiąc o tym, że obsmarowaliby cię po wszystkich dworach.

– Doprawdy? – spytała Jadwiga przeglądając się w kałuży i opuściła topór, ale go jeszcze nie odstawiała.

– No, a weźmy tę bramę – kuł Dymitr żelazo póki gorące. – Co będzie jak ją całą porąbaną zobaczy ten Litwin Jagiełło? Pomyśli, że trafił do jakiejś rudery, a nie na zamek królewski...

– Doprawdy? – spytała Jadwiga, spoglądając krytycznie na pokiereszowaną furte.

Odłożyła topór i dała się odprowadzić Dymitrowi do komnat, rzucając na odchodnym:

– A naprawić mi zaraz tę bramę, ma wyglądać jak nowa!

Podobno, jak napisał Długosz, Jadwiga przy pomocy topora usiłowała sobie utorować drogę, ale podskarbiemu Dymitrowi udało się jakoś uśmierzyć jej gniew, choć nie wiemy, jakich argumentów użył. Może po prostu zwyciężył zdrowy rozsądek Jadwigi.

Ponieważ nie miała przy sobie matki, u Boga szukała pociechy w swym smutku z powodu złamanego serca. Dlatego codziennie, w dzień, a czasem w nocy, przychodziła do katedry wawelskiej i prosiła o radę Czarnego Chrystusa rozpiętego na wielkim krzyżu. Błagała go, by dał jej siłę poświęcić własne szczęście w imię uratowania dla chrześcijaństwa całego narodu litewskiego. I podobno Jezus z krzyża wyciągnął nad nią rękę i odezwał się w te słowa:

– „*Exaudita est oratio tua*” – czyli „wysłuchane zostały twoje prośby”.

Pokrzepiona, z mniejszą już obawą czekała na swego nowego (acz starszego) oblubieńca.

Jadwigę dręczyła jeszcze jedna obawa – jak wygląda Jagiełło. Litwę bowiem w tamtych czasach wyobrażano sobie jako dziki i mroźny kraj leżący tam, gdzie diabeł mówi dobranoc. Litwini zresztą od diabłów mieli się różnić nieznacznie, może o tyle tylko, że obyczajów byli jeszcze grubszych, a na ciele bardziej obrośnięci i pod tym względem do niedźwiedzi bardziej podobni. Już w dzieciństwie dość się o nich nasłuchiwała od Albrechta „z warkoczem”, a zwolennicy dwornego Wilhelma jeszcze postać Jagiełły zohydzali w oczach przestraszonej panienki: że stary i pomarszczony, brzydki jak nieszczęście, dzikus i skrytobójca, który kazał zabić rodzzonego stryja Kiejstuta. Krzyżacy zaś obsmarowywali Jagiełłę jako kosmatego „pogańskiego psa Jagala”.

Chcąc być przynajmniej przygotowana na wstrząsający widok potwora i nie zemdleć nieprzystojnie podczas publicznej prezentacji, wysłała zaufanego dworzanina Zawiszę Czerwonego z Oleśnicy na spotkanie z Jagiełłą „polecając, by go oglądnął, jego urodę i postawę, wrócił jak najszybciej i opowiedział dokładnie o jego urodzie, sylwetce i obyczajach i by się wystrzegał przyjmowania jakiegos podarunku od księcia Jagiełły”. Kopnął się zatem w drogę Zawisza nie zwlekając i zastał Jagiełłę w Sandomierzu.

Imaginacja 4

Uśmiechnął się pod nosem Jagiełło, bo jako człek bystrego umysłu od razu domyslił się, z jaką sekretną myślą Jadwiga przysłała Zawiszę. Zaprosił więc posłańca królowej do wspólnej kąpieli w łaźni. Na widok sauny Zawisza skrzywił się lekko, co nie uszło uwagi Litwina.

– Cóż to, pośle, łaźnia ci dziwna? Słyszałem, że już Ibrahim ibn Jakub, arabski podróżnik z Hiszpanii, w czasach waszego Mieszka I opisywał słowiańskie banie, zwąc je istbami. A Bolesław Chrobry zapraszał do łaźni swych wielmożów.

– To było dawno, od tej pory nasze obyczaje znacznie się ucywilizowały – odparł Zawisza wyniośle.

Jagiełło wzruszył ramionami.

– Jak sobie chcesz, ja wchodzę.

Ponieważ był początek lutego i mróz siarczysty, Jagiełło nosił kożuszek i czapkę, więc poseł nie mógł mu się dobrze przyjrzeć, więc rad nierad wśliznął się za księciem do łaźni, gdzie od rozgrzanych kamieni, obficie zlewanych wodą, buchały kłęby pary.



– A, jesteś – zauważył go Jagiełło, oddając łaziebnemu czapkę.

Zawisza wytrzeszczył oczy aż do bólu, aby nie przegapić diabelskich rogów, choćby najmniejszych. Ale na skroniach księcia nie było nic, nawet włosów, bowiem Jagiełło już wtedy miał „wysokie czoło”, a z czasem łysiał coraz bardziej.

– Na co czekasz, rozbieraj się – rzekł Jagiełło oddając łaziebnemu kolejne części garderoby.

– Dziękuję, kąpałem się na Boże Narodzenie, a do Wielkanocy jeszcze sporo czasu – podziękował grzecznie Zawisza.

– Ja tam kąpię się najdalej co trzeci dzień, a jak się da, to i codziennie – oznajmił Litwin.

– Czyste barbarzyństwo – mruknął cicho Zawisza z wyższością właściwą człecowi kulturalnemu w obecności dzikusa, a na głos powiedział: – Nasz kraj jest od wieków chrześcijański i inne tu obyczaje.

– Co kraj, to obyczaj – zgodził się Litwin i zdjął koszulę, całkiem się obnażając.

Zawisza z ulgą zauważył, że księżę nie jest bynajmniej obrośnięty jak niedźwiedź, brakuje mu też ogona właściwego diabelskim pomiotom. A gdy Jagiełło, włączając do balii, stanął przodem do posłańca, ten mógł z całkowitą pewnością donieść swojej pani, że oblubieniec nie ma wprawdzie rogów, kudłów i ogona, ale poza tym nie brakuje mu niczego.

Po kąpeli golibroda golili Jagiełłę brzytwą, przyszytył mu włosy nożyczkami i przyczesywał grzebieniem z kości słoniowej, które to higieniczne akcesoria księżę zawsze nosił przy sobie, a tymczasem poseł oczekiwał potem, bowiem robiło się coraz goręcej, on zaś był okutany po szyję. Zaczęło go kręcić w nosie i kichnął potężnie.

– Na zdrowie – powiedział Jagiełło i podał posłowi lnianą chusteczkę, których zawsze miał przy sobie spory zapas.

– Co to? – zdziwił się Zawisza na widok kolejnego dziwactwa.

– Chustka do nosa.

– Królowa zabroniła mi przyjmować podarki – wzdrygnął się wysłannik i obyczajnie wytarł nos w rękaw, po czym zaczął niespokojnie rozglądać się za wyjściem.

A ponieważ woniał coraz intensywniej i spełnił już swą misję, Jagiełło pozwolił mu się oddalić. Zawisza w te pędy udał się do swej pani, uspokoić ją, że wygląd księcia jest w zupełnym porządku, natomiast cokolwiek dzikie obyczaje pod wpływem chrześcijańskiego otoczenia powinny się z czasem ucywilizować.

„Książę Jagiełło – kontynuował swą opowieść Długosz – będąc pewny, że królowa wysłała do niego posła celem poznania jego urody i budowy ciała, o której fałszywa opinia powszechnie twierdziła, że jest szpetna, przyjął posła uprzejmie i życzliwie. A żeby lepiej zobaczyć nie tylko jego postać, ale i poszczególne kształty jego ciała, poprowadził go ze sobą do łaźni. Ten natrzymawszy się wszystkiemu do woli, odmówiwszy też przyjęcia upominków dawanych mu przez Jagiełłę, po powrocie do królowej Jadwigi donosi, że sylwetka księcia Jagiełły jest zgrabna, kształtna, ciało dobrze zbudowane, wzrost średni, spojrzenie wesołe, twarz podłużna, bez żadnego jednak śladu szpetoty, a obyczaje poważne i godne księcia. Uspokaja królową Jadwigę uprzedzoną już dawno o pospolitych obyczajach i niezgrabnej postaci Jagiełły”.

Pogodzona już zupełnie z losem Jadwiga czekała zatem spokojnie na obłubieńca. Zresztą równie młode królowny wydawano za znacznie starszych i brzydszych królów czy książąt i dobrze o tym wiedziała. A Jagiełło jak na swój wiek był naprawdę w doskonałej kondycji, zaś dobrym zdrowiem cieszył się do późnej starości. Czego nie można powiedzieć o nieszczęsnym Wilhelmie.

A ten jeszcze nie dał za wygraną. W przebraniu kupca ukrywał się za murami Krakowa, w Łobzowie i Czarnej Wsi, aż wreszcie w akcie rozpaczony zakradł się do miasta i zamieszkał u zaprzyjaźnionych mieszczan, Morsztynów, w kamienicy Pod Gruszką obok rynku. Tu omal nie zdybałaby go straż królewska, gdyby nie schował się na belce w kominie. W końcu, w trosce o jego bezpieczeństwo, Jadwiga nakazała mu uchodzić z Polski. On jednak zwlekał aż do wjazdu Jagiełły do Krakowa i dopiero wtedy wrócił do Wiednia w ubogim odzieniu, bowiem wszystkie kosztowności i piękne stroje zostawił Gniewoszowi z Dalewic (ten zaś przeznaczył je dla augustianów na dokończenie budowy kościoła św. Katarzyny na Kazimierzu).

Wilhelm nie ożenił się aż do śmierci Jadwigi (na wieść o tym wdział czarne szaty i odpisał przepisaną żałobę), a przeżył ją o niewiele lat. Nigdy też nie upomniął się o należne 200 000 florenów; mimo to Jagiełło zwrócił mu je z własnej szkatuły.